

# Przegląd Wileński

TYGODNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY I LITERACKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ:  $\frac{1}{1}$  strona — 7000 mk.

$\frac{1}{2}$  „ — 3500 „  
 $\frac{1}{4}$  „ — 1800 „  
 $\frac{1}{8}$  „ — 1000 „

## Miecz Damoklesa.

Jak wiadomo, podczas konferencji Genueskiej, wypłynęła na powierzchnię burzliwych jej nurtów, z inicjatywy Lloyd George'a, sprawa Wileńszczyzny. I chociaż dzięki rozmaitym okolicznościom nie doszło do jej omawiania, niemniej nie została ona definitywnie pogrzebaną. Ten że Lloyd George zapowiedział poruszenie jej na najbliższej konferencji w Haadze.

Ten brak delikatności ze strony Anglii przykro dotknął opinię polską, która naiwnie sądziła, że skoro prasa warszawska i wileńska orzekła, iż kwestja jest już rozstrzygnięta na mocy uchwały sejmu warszawskiego i „zgromadzenia orzekającego“ wileńskiego, czynniki międzynarodowe przyjmą takie załatwienie sprawy do wiadomości i nad całym zagadnieniem przejdą do porządku dziennego.

Wprawdzie „Gazeta Warszawska“ obecnie stwierdza, że należało z góry przewidywać, iż decyzja przyłączenia Wileńszczyzny może być zakwestjonowaną pod pretekstem jednostronności, ale doniedawna organy aneksyjne, a nawet quasi federacyjne, zapewniały swych czytelników, że wola ludności będzie uszanowaną i że nie należy się obawiać żadnych komplikacyj międzynarodowych na tem tle.

Sprawdziło się zaś to, o czem pisaliśmy niejednokrotnie, a mianowicie, że kwestja Wilna ma charakter wybitnie międzynarodowy i że bez porozumienia z Europą rozstrzygnięcie jej na własną rękę nie posiada żadnej wartości.

Czy Wileńszczyzna będzie się nazywała oficjalnie Litwą Środkową czy Ziemią Wileńską czy województwem Wileńskim, czy będą znaczki pocztowe z Orłem i Pogonią czy tylko z Orłem, czy będzie rządził p. Delegat bezpośrednio czy za pośrednictwem T. Komisji Rządzącej — postaci rzeczy to przecież nie zmienia. W tej czy innej formie treść

pozostaje ta sama. Faktyczny stan posiadania i brak sankcji prawno-politycznej.

Właściwie sytuacja nawet się pogorszyła. Dopóki wcielenie nie nastąpiło, dopóki istniała Litwa Środkowa—było rzeczą całkiem naturalną, że zagadnienie Wileńszczyzny stanowiło przedmiot zainteresowania mocarstw europejskich. Suwerenność Polski nie była przez to narażoną na szwank. Obecnie zaś, gdy formalnie Wileńszczyzna jest składową częścią Rzeczypospolitej Polskiej, gdy ludności wpojono przekonanie, że jej los jest już ustalony, ingerencja czynników międzynarodowych obniża autorytet rządu polskiego i kwestjonuje wartość jego uroczystych zapewnień.

To samo poczucie niepewności i perspektywa groźnych powikłań w przyszłości, które hamowały normalny rozwój kraju i na co z takim naciskiem wskazywali zwolennicy jaknajszybszej aneksji, cechują i obecne położenie, z tą różnicą wszakże, że gdy dawniej było do pomyślenia wyjście kompromisowe, dziś jest już ono wykluczone, ponieważ państwo nie może dobrowolnie przystać na uszczuplenie swego obszaru.

Było wielkiem złudzeniem spodziewać się, że Litwa się pogodzi z faktem dokonanym i zrezygnuje ze swych praw do grodu Gedyminowego. Z uporem „manjackim“, jak go określają nacjonalistyczne pisma polskie, a świadczącym w istocie o żywotności kwestji wileńskiej dla państwa litewskiego, rząd kowieński nie pomija żadnej sposobności, by zamanifestować swój protest i przypomnieć światu o niezalatwionym sporze polsko-litewskim. Nie udało się go uczynić tematem obrad międzynarodowych w Genui, może się lepiej powiedzie w Hadze lub kiedy indziej.

Słowem sprawa Wileńszczyzny, jak miecz Damoklesa, wisi nad państwem polskim i chociaż nie grozi jego istnieniu, gdy spadnie—może przyprawić o ciężkie kalectwo, a w każdym razie będzie spędzał sen z powiek.

Jak zaś dalekiemi są mocarstwa europejskie od myśli, że wcielenie Wileńszczyzny do Polski los jej ostatecznie rozstrzyga, świadczy wymownie ostatnia uchwała Ligi Narodów w sprawie pasa neutralnego. Uznając konieczność zachowania go pod względem militarnym, Rada Ligi Narodów zaleca jedynie przeprowadzenie *pro wizorycznej* linii demarkacyjnej w celu uporządkowania strefy neutralnej pod względem administracyjnym. Bynajmniej więc Liga Narodów nie godzi się ze stanem rzeczy, wytworzonym przez akt aneksji Wileńszczyzny, i traktując ją jako *pro wizorium*, projektuje *pro wizoryczne* również rozgraniczenie Litwy z Polską.

Jeżeli dodamy do tego, że rząd Sowiecki kategorycznie obstaje przy swej interpretacji traktatu Ryskiego, jako nie anulującego wcale umowy z Litwą z d. 12 lipca, będziemy mieli całokształt tych trudności, z którymi będzie musiało się uporać państwo polskie, by zapewnić sobie spokojne i przez nikogo nie kwestjonowane prawo własności do Wileńszczyzny.

A że usunięcie tych przeszkód nie będzie łatwym, na to wskazuje konferencja Genuńska, która wbrew zapewnieniom optymistycznym korespondentów polskich, osłabiła stanowisko Ententy i wzmożniła wpływy niemiecko-rosyjskie.

## „Actio in distans“ w polityce polskiej.

Już w przeszłości katastrofa rozbiorów Polski wywołała szereg ech współczucia dlań wśród narodów — *dalekich*, z którymi Polska nigdy nie miała granicy bezpośredniej. Przeciw rozbiorom Polski protestowała Wysoka Porta, niepomna tak licznych walk

półksiężycą z krzyżem, żywo też spółczuwali szlachetni synowie Ameryki, do których niebawem za ocean podąży Kościuszko i Pułaski... Również w wieku XIX wieść o zbrojnych powstaniach narodu polskiego zwykła była wywoływać szczere sympatje w Paryżu, Brukseli, Rzymie, Madrycie..., a więc znowu w środowiskach *odległych*. W wyniku ostatecznym wszystkie te objawy sympatji i kondolencji, oprócz satysfakcji chyba dla zranionego honoru narodowego, dziwnie mało dawały Polsce korzyści pozytywne.

Dziś Polska zmartwychstała i zajęła miejsce wśród narodów, mających własną państwowość. Uderzającą jest rzeczą, że w polityce dzisiejszej Polski dostrzegamy dosyć wyraźnie znany już nam z przeszłości polskiej rys: Polska ma sojuszników, przyjaciół i sympatyków, lecz wszystko *dalekich*, bo przedzielonych od niej obszarem czy to republiki Niemieckiej, czy to Czechosłowacji, Węgier i Austrii... Gdzie bowiem Polska styka się dziś np. z Belgią, Francją, Włochami?!... By znaleźć takiego sojusznika, trzeba naprzód przemierzyć obszary państw ościennych, trzeba wpierszyć się przedostać przez gęste masy ich ludności... Dziś gdy w pobliżu granic Polski, np. na Śląsku niemieckim, stoją jeszcze oddziały wojsk międzynarodowych, gdy Warszawę zamieszkuje liczne wojskowe misje zagraniczne, nie odczuwa się tak ostro całej nienormalności „dobrodziejstwa“ sojuszków z państwami dalekimi, długo jednak ten stan rzeczy nie może potrwać: wojska międzynarodowe opuszczą kiedyś tereny sporne, a w Warszawie zostaną jedynie wojskowi *attachées* przy poselstwach. Tymczasem, nie ustępując ani piędzi ziemi ze swego stanu posiadania, tuż za miedzą Polski będą leżały obszary niemieckie, rosyjskie... nie mówiąc już o litewskich, białoruskich, ukraińskich, czeskich.

Nie pomniejszamy wcale wielkiego znaczenia, jakie dla Polski posiada Francja w chwili obecnej powojennej, nie powinno to jednak przesłaniać zbyt oczywistego faktu, że o trwałości bytu państwowego Polski koniec końców *przedewszystkiem* decydować będzie to, czy potrafi ona zająć odpowiednie miejsce wśród państw i narodów, najbliższych Polski są-

J. B—nas.

## Smutna opowieść.

2) (Tłumaczenie z litewskiego).

Ludzie - niewolnicy, niedawno jeszcze tak spokojni i lękliwi, poruszyli się niespodzianie, i jeśli nie wszyscy przemówili głośnie, to wszyscy poczuli marzyć i czekać lepszych czasów. Dawniej już przeleciała była wieść niewyraźna o uwolnieniu, o powstaniu i jakichś odmianach, lecz wieść ta przeleciała i uciekła, nie czyniąc wrażenia. Niektórzy nie zauważyli jej wcale, inni puścili mimo uszu.

Teraz przemowa księdza, pismo, przeczytane z ambony i rozmaite wiadomości poruszyły ludzi odrazu, budząc w ich sercu nową nadzieję.

Co prawda, niejeden uśmiechnął się tylko i szedł, że nic z tego nie będzie, i nie ruszając się z miejsca, troszczył się o siebie tylko i chytrze czekał.

Lecz byli i tacy, szczególnie wśród młodzieży, którzy z sercem płonącym patrzyli na siebie goręciami oczami i, zaciskając pięście, szeptali:—nie będziemy służyć panom, wygnamy ruskich!

Starsi tymczasem wdychali tylko, kiwając smutnie głowami: nie probowali nawet powstrzymać gorętszych...

Do rzędu tych gorętszych należał i Piotr Banis. Młody jeszcze i wrażliwy, nie mógł obojętnie patrzeć na te zdarzenia, ani ich spokojnie słuchać. Chociaż nie wychodził po za swe miasteczko, a o świecie i potrzebach nie wiedział wiele, jednak słowa: wolność i równość były dlań zrozumiałymi i drogiemi. Czułe serce i głowa gorąca dużo mu do tego pomogły. Nieraz już i przedtem, pracując na polu dworskim, umęczony i głodny, patrzył zamglonymi oczami na dwór pański, a w wyobraźni jego powstawały obrazy nowego, jasnego życia... Wobec tych obrazów jednak, sam on był tak słabym, ubogim niewolnikiem. Wiedział, że na tym padole leżą są ludzie bogaci i piękni, wolni i szczęśliwi, tylko nie wiedział, że i niewolnik może im być równym, może równych praw żądać. Lecz najłżejszy wietrzyk mógł rozpalić w czułym sercu Piotra taką nadzieję, mógł nowe pragnienia obudzić. Tylko wietrzyka tego nie było dotąd... Widział on dotychczas życie ciężkie, przyćmione; szedł tą drogą życia, brukowaną kajdanami pańszczyzny. Nie wiedział i marzyć nie śmiał,

siadów Europy Środkowej i Wschodniej. Był Polski musi być zharmonizowany z bytem Niemiec, Rosji, Litwy, Czech... Polska musi dojść z niemi do ładu, musi stać się członkiem tego przez samą naturę wskazanego sobie zespołu. Jeśliby zagwarantowanie sobie bytu trwałego miało nawet Polskę coś kosztować, to warto zastanowić się, czy poniesienie tych ofiar nie opłaciłoby się jej w przyszłości. Przecież jeśli Polsce wypadnie wciąż drzeć o swe granice tak na Zachodzie, jak na Wschodzie, był jej państwowy ładu łatwo się zamieni w pewnego rodzaju tortury. Cóż wtedy Polsce pozostanie czynić? Uchwycić się ślepo militarystyki i zamienić się w jeden obóz wojenny?! Nikt jednak tego wyjścia za dobre uważać nie będzie.

A więc nie wolno poprzestawać Polsce na jednostronnym szukaniu *dalekich* przyjaciół, jak Francji, Belgji... Nie wolno łudzić siebie tem, że podobno w Japonii jest dużo sympatyj dla Polski (por. listy z Japonii Frycza w *Rzeczypospolitej*), że jakoby prezydent Brazylii jest bardzo życzliwie usposobiony względem Polaków (por. listy z Brazylii w *Świecie*)... Chociażby było tak, jak stamtąd piszą, lub nawet jeszcze lepiej, jakże mało da Polsce taka przyjaźń *dalekich*?! I kilku przyjaciół dalekich nie zdziała tyle, co jeden *bliski*!

Być może apologeci obecnego kursu polityki polskiej zechcą się powołać na układ warszawski, zawarty z państwami bałtyckimi, i poprzednio podpisane umowy z Rumunją, Czechosłowacją, Jugosławiją, może nawet na traktat Ryski z r. 1921 i niedawne przedgenueńskie porozumienie w Rydze... *Wszystkie* te sukcesy polityki polskiej noszą jednak na sobie wyraźne piętno poławiczości, zaczynają się chwiać zaraz po odjeździe delegatów pełnomocnych z miejsca obrad i faktycznie są potem prawie zerem lub co gorsza rodzicielką licznych nowych kłopotów. Tak np. polsko-rumuński traktat ostro krytykowany jest w parlamencie bukareszteńskim, układ z Czechosłowacją mało zadawała nawet endeków, porozumienie z państwami nadbałtyckimi rozpada się wnet, dzięki wycofaniu się Finlandji, przedgenueńskie rozmowy w Rydze rodzą tylko kłopoty, nic wzamian

aby tę drogę można było usypać kwiatami i lżejszą uczynić. Na około było niewypowiedzianie smętnie i chłodno. Jedną tylko Józefata grzała to życie jego: z nią był spokojny i szczęśliwy, nie czuł brzemienia niedoli. Jeśli kiedy przypominał, że pan może w każdej chwili wydrzeć mu tę drogą kobietę i wdeptać w błoto; wtedy serce niewolnika drżało i zapalało się zemsty płomieniem. Lecz gdy Józefata spójrzała nań jasnymi gwiazdami z pod długich rzęs, serce jego uspakajało się i zapominał o wszystkim...

Przemowa księdza i pismo były więc owym wietrzykiem, który owiał twarz Piotra i wzniecił nowe myśli w jego głowie. Wzniecił je, aby już nie zniknęły, lecz rosły i krzewiły się. I jak mogły myśli te nie rosnąć i nie krzewić się, gdy codzien przyplwały nowe wieści, coraz rozmaitsze i ciekawsze. Chociaż nie wiele czasu upłynęło od owej pamiętnej niedzieli, wszyscy, dalsi nawet, wiedzieli i mówili o nich. Opowiadano, że księża czytali to samo i w innych kościołach, że ludzie wszędzie się zbroją i idą do lasu; że w jednym miejscu zbili już i wygnali wielkie wojsko rosyjskie; że morzem przywożą dużo broni i innych narzędzi wojny i wnet uzbroją wszystkich... Jedni wierzyli temu, inni nie wierzyli. Lecz

nie dając. Dlaczego tak się dzieje? Niezawodnie dlatego, że Polska w gruncie rzeczy nie przywiązuje do porozumienia z ościennymi państwami i narodami nawet setnej części tej wagi, jaką mają dla niej stosunki z *dalekimi*. Polscy ministrowie spraw zagranicznych często jeżdżą, lecz tylko nad Sekwanę, Tamizę i Tybr, żaden jednak nie próbował nawet odwiedzić Rygi, Rewla, Helsingforsa, jeśli już nie Berlina, Kowna, Budapesztu...

Widocznie Polacy wolą *actio in distans*. Ale czy jest ona dla Polski pożyteczną? Czy nawet możliwa na czas dłuższy?

Jadźwing.

## WOLNA TRYBUNA.

### Endecja a polityka Watykanu

Mamy do zanotowania dość rzadki fakt: głos D. Filozofowa o polityce Watykanu względem Sowietów w warszawskim emigracyjnym dzienniku rosyjskim „*Za swobodu*” tak przypadł do gustu p. Jotowi, że nie omieszkał go wykorzystać dla poparcia zapatrywań swej partji na wielki problem zjednoczenia kościołów.

Jak wiadomo, kler polski, poza bardzo nielicznymi jednostkami, nigdy nie nadawał się do pracy unjonistycznej, w czasach zaś obecnych, dla całego szeregu przyczyn, wydaje się być jeszcze mniej zdolnym do tego. Świadomość tego oczywistego faktu, uprzytomniona przez czynniki kierownicze kleru polskiego, ustrzegłaby go od wielu przykrych zawodów i, co za tem idzie, bolesnej kompromitacji na tej arenie, na którą dziś są zwrócone oczy całego świata katolickiego, uważającego zawsze pracę dla unji za zadanie niezmiernie wzniosłe, a wymagające starannego oplukania katolicyzmów lokalnych ze szpecących go tylko etykietek nacjonalistycznych i partyjnych. Jednak endecja, uważająca siebie za wykładnik sił i mocy katolicyzmu polskiego, faktu powyższego, mimo jego oczywistości, nie spotrzega i uważa dziś kler polski nie tylko za równie uzdolniony do pracy

wszyscy poruszyli się, zaniepokoiłi. Były to dni gorące, niespokojne i czas leciał niewypowiedzianie szybko... A tu znowu wieść się rozniosła, że ksiądz jakiś sam wiedzie ludzi przeciw Rosjanom, idzie jak lew, któremu największe wojsko nic nie uczyni, którego kule nie tykają... Ludzie wzburzyli się jeszcze bardziej...

Piotr naradzał się już oddawna z przyjaciółmi swymi, co robić. Gorętsi zgadzali się na to, że drzeć niepodobna, trzeba się ubierać, broń jakąkolwiek ukuć, gdyż może zająć potrzeba, albo samym się bronić, albo ruszyć z innymi; że wstyd i nieładnie siedzieć na miejscu ze złożonymi rękami, i można przegrać sprawę—nie dostać ziemi.

Poczem ten i ów z gorętszych począł nosić do kuźni rozmaite kawałki żelaza...

Tkając przy oknie, widziała pewnego dnia Józefata, jak Piotr wyniósł ze spichrza kosę i widły i oglądając się, jakby z bojaźnią, znikł szybko za wrotami. Nie spytała o to męża... Lecz w kilka dni, niosąc jedzenie wieprzakowi, ujrzała niespodzianie pod ścianą chlewa Piotra z dwoma młodymi sąsiadami, Antonim i Kazimierzem: — wszyscy trzej mieli długie kije, zakończono żelazem i bodli nimi powietrze.

unjonistycznej w Rosji, jak np. niemiecki, lecz za *jedynie* uprawniony do objęcia w swych rękach całej tej działalności. Stąd to pochodzi owe systematyczne, bodaj od roku już uprawiane przez endecję, szkolenie i napastowanie *en gros* kleru katolickiego w Niemczech, z powodu każdej, dotychczas poważnie z palca tylko wyssanej, wiadomości, że katolicy niemieccy chcieliby również rękę swą przyłożyć do pracy, którą każdy katolik uważa za punkt swego honoru, jako członek Kościoła *Powszechnego*.

Nadchodzące tak obficie z Genui i Rzymu sprzeczne, przeważnie chyba bałamutne, wiadomości o układach Watykanu z Sowietami, srodze zaniepokoiły p. Jota. Dużą mu jednak pociechę sprawił tymczasem głos znanego publicysty rosyjskiego, dziś emigranta, D. Filosofowa, stawiającego jak najgorsze horoskopy akcji katolickiej w Rosji.

Jakąż ma wartość głos pisarza rosyjskiego? Jest to typowy głos emigranta rosyjskiego, odzwierciedlający doskonale charakterystyczne dla ludzi tej kategorii, nastawienie się ideowe. Psychologicznie to zjawisko jest łatwo zrozumiałe. Każda emigracja (nie wyłączając oczywiście polskiej) nigdy absolutnie nie chciała się liczyć z obecnym stanem rzeczy w tym kraju, skąd dobrowolnie lub przymusowo wyjechała. Rację bytu swego natomiast skora była upatrywać w bezwzględnym zaprzeczaniu rzeczywistości. Dziennik „*Za swobodę*” bardzo wiernie przestrzega tej linii ideowej. Ponieważ bolszewizm w Rosji usadowił się akurat na tem miejscu, gdzieby należało być i działać inteligencji rosyjskiej, stanowiącej dziś *maximum* emigracji, emigrant rosyjski swój stosunek do bolszewickiego rządu układa bardzo jednostronnie—nienawidzi go i tylko. Chciałby takąż nienawiść bezwzględną widzieć w innych i dlatego niesłychanie prostolinijnie ustosunkowuje się do swego wroga. Nie przeceniajmy głosu emigracji rosyjskiej, która nic ideowo jednolitego *nie* przedstawia, a rozbita jest na liczne, zawzięte zwalczające się grupy (Berlin, Belgrad, Sofja, Wiedeń, Praga, Paryż, Konstantynopol i t. d.). Chyba tylko ślepa nienawiść do bolszewików, i to w chwilach poszczególnych, daje pozór skoordynowanych wysiłków ze strony emigracji. Dla

tych więc powodów, głos emigracji rosyjskiej jest fikcją, a mamy do czynienia tylko z głosami — emigrantów, najwyżej pewnych grup.

Jeszcze mniej emigracja rosyjska ma prawa przemawiać w imieniu Rosji, jako takiej. Czy ma chociażby mandat moralny do tego od ludu rosyjskiego? Czy można zbyt poważnie się liczyć z tem, co się mówi w imieniu tej Rosji, której jeszcze *niema*??

Ostrzeżenie D. Filosofowa, że próby porozumienia się Watykanu z Sowietami, tak zniechęconymi przez naród rosyjski, „ostatecznie zdyskredytują w oczach każdego Rosjanina politykę Watykanu”, gdy je przyjmuje za swoje endecja, wygląda co najmniej dziwnie. Jeśli bowiem wchodzenie w stosunki z Sowietami jest dziś czemś absolutnie złem i niedopuszczalnym, to zarzut powyższy w całej swej rozciągłości uczyniony być winien przede wszystkim Polsce, która już przed dwoma laty podpisała traktat ryski. Nawet pocałunek zamienili ze sobą p. Dąbski i tow. Joffe. Nie brakło i wtedy, również wśród emigracji rosyjskiej głosów, które zapowiadały, że Polska w ten sposób kładzie kamień grobowy na wszelkie nadzieje przyszłego załatwienia sporu polsko-rosyjskiego. Myśląc jednak kategorjami realnymi, bynajmniej zarzutów Polsce z tego nie czynili, uważając że traktat w Rydze jest koniecznością życiową. Ładnie wyszłaby Polska, jeśliby, dając się wtedy porwać bezkrytycznym impulsom uczuciowym, jakieś umowy z Sowietami nie zawarła, wydając na ostateczną zagładę miljonową rzeszę uciekinierów, repatriantów itd. i zrzekając się drogocennych zabytków sztuki, literatury itd., zrabowanych ongi przez carat! Dyplomacja papieska (ciesząca się nienajgorszą opinją) niewątpliwie żadnych złudzeń nie ma co do charakteru rządów bolszewickich i dwulicowej ich polityki, jednak posiadając w Rosji daleko cenniejsze dla siebie skarby, niż gobeliny, obrazy i meble, bo milion wyznawców Kościoła i tysiące ołtarzy katolickich, siłą rzeczy jest dziś zmuszona szukać jakiegoś porozumienia z Sowietami. Wołania pp. Mereżkowskich, Filosofowowych i innych luminarzy emigranckich wpłynęły nie więcej na Watykan, niż głosy tychże kół wpłynęły na Polskę w r. 1920, podczas pertraktacji ryskich.—Co zaś do

— Co wy tu robicie? — zawołała zdziwiona Józefata.

Ujrawszy ją, byliby się mężczyźni chętnie ukryli, lecz nie zdążyli. Wyprostowali się, zasuważąc swe kije za plecy.

— Cicho, Józefato, nic złego — odezwał się Piotr, ocierając pot z czoła; my się uczymy, jak trzeba potykać się z Moskałami.

Tacy byli śmieszni ze swemi pikami i tak wesoło na nią patrzali, iż ona uśmiechnęła się tylko. Lecz wychodząc z chlewu poczuła, iż serce jej zimny jakiś ból ścisnął. Nie była bojaźliwą; serce miała wrażliwe, a głowę gorącą, a na samo życie patrzała weselej może, niż jej Piotr, gdyż niebezpieczeństw tego życia nie pojmowała. Gdyby był Piotr opowiedział cały zamiar Józefacie, kochającej jej serce byłoby pewnie prędzej odczuło nieostrożność i niebezpieczeństwo i powstrzymałaby męża od strasznego kroku. Piotr, jakby to przeczuwając, od kilka dni ukrywał się ze swemi projektami przed żoną: bał się jej łez, jej przestachu. Postanowił z niektórymi przyjaciółmi iść koniecznie do lasu i tam złączyć się z powstańcami: zbadał, iż niedaleko znajduje się wielka partja...

Tego samego wieczora, gdy Józefata znalazła ich, bodzących walecznie powietrze koło chlewa, Piotr umówił się z towarzyszymi wyruszyć z domu naza jutrz przed świtem. Wszedłszy do chaty, nie chciał nawet jeść wieczerzy. Gdy Józefata poczęła pytać, po co te piki i żądała całej prawdy. Piotr objął drzącą i przycisnął silnie do piersi...

— Nie wiem, dla czego tak mię serce boli, taka bojaźń ogarnia—skarżyła się tuląc do niego.

— Nie bój się, — uspokajał mąż, — nie stanie się nic złego; pobiją i wygnają Moskali z naszego kraju. Piki przyrzadziliśmy tak sobie: abyśmy się mieli czym bronić i gdyby kozacy napadli... Wszystko przytrafić się może...

I zaczął opowiadać żonie, jak to teraz dobrze, że nie trzeba chodzić do dworu, i jak będzie dobrze potem, gdy lud otrząśnie się z władzy rosyjskiej. uzyska swobodę i każdy ziemię dostanie... Oni oboje doczekają się dzieci... będą szczęśliwi...

Opowiadał i marzył, i wierzył sam tym marzeniom,—wierzył mocno, bez zwątpienia.

Józefata, zasłuchana cała, patrzała na męża, jak na obraz drogi.

tyczy „wielkich trudności“, jakże p. Jot widzi na drodze do zjednoczenia kościołów, to one są zdolne tylko spotęgować odnośny wysiłek Rzymu.

O tem, że prawosławie dobrze zdało egzamin ze swej mocy i sił i dziś posiada dużo większy autorytet moralny, niż gdy było pod szczególną opieką rządu carskiego, niech p. Jot często przypomina, ale... raczej endecji, która w dużej mierze jest dziś odpowiedzialną za wszelkie szykany, jakim na „kresach“ podlega prawosławie. Kwestja dysydencka w całej pełni istnieje w Polsce społecznej, liczącej 36% (wyraźnie: trzydzieści sześć) prawosławnych!.. Tak troskliwa o dobre stosunki z prawosławnymi, nasza endecja oddawna przygotowuje w Wilnie grunt pod zabór na kościół łaciński historycznej cerkwi św. Trójcy oraz murów po bazylijskich, do których ewentualnie mogłaby tylko zgłosić swe prawo wskrzeszona u nas Unja.

Emigracja rosyjska lubi niekiedy przemawiać z ramienia tej biernej masy rosyjskiej, która już od r. 1917 znosi jarzmo bolszewickie. Ale przecież ta masa, to wielkość nieznaną (X) nawet dla samych Rosjan, zwłaszcza od kilku lat odciętych od wszelkiego z nią kontaktu! „Któż poznał puszcze litewskich przepastne krainy?! Kto poznał, co myśli i czuje dziś włościanin rosyjski?! Jak trudno mówić o opinii ludności, rozrzuconej na olbrzymiej przestrzeni od błot polskich po Władywostok, od wybrzeży Murmanu po stepy Turkiestanu?! Czy tylko sama bierność ludu rosyjskiego pozwala bolszewikom tak długo utrzymać się przy władzy? Czy nie jest politycznie w chwili obecnej Rosja próżnią, gdzie grasuje bolszewizm? Nie mogła Polska czekać, aż bolszewizm sam upadnie, bo wtedy mogłoby już nie być, kogo i co reewakuować. Również Rzym nie może uprawiać takiego kunktatorstwa, bo mogłaby nadejść chwila, kiedy w Rosji wszyscy katolicy wymarliby lub zostali zjedzeni, a na miejscu kościołów ujrzanoby kupy gruzu.

Żaden misjonarz katolicki nigdy nie zgodziłby się „działać tylko z ramienia i pod egidą znienawidzonego rządu Sowietów“. Zbytecznie niepokoją się o to D. Filosofow, a za nim p. Jot. Zresztą światli misjo-

narze katolicy z Niemiec, na których *wcale* nie ciąży zarzut utożsamiania katolicyzmu z narodowością, niewątpliwie potrafiliby znaleźć właściwą linię postępowania w Rosji. Natomiast nigdy jej nie znajdują duchowni przyjaciele polityczni p. Jota.

Prawdę mówiąc, zgola niepotrzebnie porzuca p. Jot oblubowane przez się pole pracy nad zwalczaniem Litwinów i Białorusinów oraz podjudzaniem przeciw żydom, a puszcza się na flukty unjonistyczne, gdzie pp. jotowie, ubabrani po łokcie w szowinizmie i demagogji, nic nie mają do powiedzenia.

Gardiner.

## Trjumwirat.

(Notatka historyczna).

(d. c.)

Mężne wystąpienie ks. Piotrowicza zjednało mu powszechne uwielbienie wśród katolików całego kraju, który rychło drogą ustną dowiedział się o czynie kapłana-obywatela. Jednocześnie ożyły nadzieje, że trjumwirat mimo wszystko nie zwycięży, i niemało księży opowiedziało się, tak lub inaczej, przeciw duchownemu wielkorządcy djecezji, Żylińskiemu. Tak oparł się wprowadzeniu języka rosyjskiego do kościoła ówczesny proboszcz w Święcianach, zaco wkrótce osadzony został w klasztorze. Niestety, następcą jego ks. Kamiński całkiem odmiennej trzymał się polityki. Zasłużony rozgłos wówczas zdobył też ks. Konstanty Majewski (znany później ze swej ciętości polemista i publicysta), wtedy jeszcze wikary w Sokółce, swym listem do chwiejnego widocznie dziekana sokólskiego. W swem piśmie, które w licznych odpisach długo potem krążyło po djecezji, dobitnie on zaznaczył, że tylko Stolica Apostolska w prawie jest rozstrzygać kwestję wprowadzenia do kościołów języka rosyjskiego. Wręcz inaczej poczynali zaprzędani rządowi kapłani, jak Niemeksza, który odnośny okólnik niegodziwego ordynarjatu kazał wciągnąć do

Tak rozmarzeni, przytuleni do siebie, przesiedzieli całą noc letnią... Położyli się przed samem świtanem.

Józefata zasnęła szczęśliwa, jak dziecko...

Wtedy Piotr wstał cicho z łóżka, pocałował śpiącą żonę przezegnal ją na rozstaniu i bez wahania wyszedł na palcach...

Józefata śni...

Widzi piękny, duży sad, pełen drzew kwitnących. Idzie przez sad ów z niemowlęciem na ręku... Ładna, piaskiem wysypana ścieżyna biegnie w dal; wokoło zioła i kwiaty mieniają się barw tysiącem; wśród gałęzi drzew ptaszki wiją gniazdko. Wszędzie tak błogo i ciepło... Józefata tuli niemowlę do piersi, szczęściem wezbranej i śpieszy, śpieszy... Za sadem jej Piotrek orze... Niesie mu obiad, chce się przed nim pochwalić dziećciem... Już widzi go zdale, pochylonego ciężko nad sochą i widzi parę wołów, odwalających zwolna skibę... Lecz nagle piękny sad i Piotr z wołami nikną jej z oczu. Nato-

miast widzi nad sobą zachmurzone niebo, pod nogami zaś straszną, bezdenną otchłań. Z jej głębi dochodzi bolesny jęk i głos, wzywający ratunku. To głos Piotra, jego to jęk. Przerazona Józefata śpieszy w stronę, skąd głos dochodzi, chce w otchłań dążyć, mężowi ratunek nieść... W tem spójrzy na dziecko: martwe! Zmrużone oczęta, posiniałe wargi, twarzyczka—jak płótno. Śmiertelnym strachem przejęta, krzyknęła nieswoim głosem. Nogi jej się usunęły i wraz z dziećciem wpada do otchłani...

Obudziła się, cała drżąca. Czują, jak przez jedną chwilę promień słońca błysnął w jej oczach, kryjąc się szybko za chmurę. Było już bardzo późno. Zaspiała! Zawstydzona, wyskoczyła z łóżka. Zdziwiło ją, iż nie poczuła wyjścia Piotra. Zawsze słyszała, wstawała z nim razem... Dla czego dziś tak?... Lecz wnet uspokoiła się i o śnie zapomniła. Przeżegnała się i do modlitwy ukłękła. Potem napaliła w piecu, zaniosta jedzenie wieprzakowi i zaczęła przyrządzać śniadanie. Bała się, aby Piotr nie potrzebował czekać, gdy przyjdzie z roboty...

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— usłyszała Józefata głos znajomy.

— Na wieki...

księgi aktów kościelnych, niczem dokument prawomocny.

Gdy te sposoby nie dały wyników oczekiwanych, rząd carski umyślił sięgnąć do najsukuczniejszego w jego opinii środka — do siły wojskowej. Tę nową fazę zapasów rządu z kościołem wyprzedzimy uwagą, że w r. 1865 z widowni Litwy ustępuje okrutny Murawjew, obciążony jakoby w oczach cesarza dowodami, że chciał oderwać kraj północno-zachodni od Rosji i utworzyć Wielkie Księstwo Litewskie. Miejsce kata Litwy, zajął nielepszy następca w osobie jen. Kaufmana, urzędującego do r. 1867 i kroczącego śladami swego poprzednika.

Otóż w tym czasie z akcją „misyjną” wystąpił książę Chowański, naczelnik wojskowy powiatu Wileńskiego. Towarzyszył mu, chociaż nie zawsze, przy objeździe djecezji cyniczny Niemeksza. Rozpoczęto tę osobliwą „wizytację” od kościoła w Bystrzycy. Odbywała się ona mniej więcej w ten sposób: po przyjeździe księcia z orszakiem, zapowiadano zwykle ludowi ucztę, dlaczego wytaczano na rynek beczki z gorzałką i piwem, przygotowywano tamże na zakąskę woły pieczone i in. specjały. Gdy po takim „ingresie”, mocno już kurzyło się w czuprynach chłopskich, zmuszano parafjan podpisywać po pjanemu, że pragną przylączyć się do prawosławia! Tak Cerkiew zawładnęła w r. 1865 kościołem w Bystrzycy. Gdy ci „wizytatorowie” przybyli do Podbrzezia, trafili na tamecznego proboszcza ks. Strzeleckiego, przepadającego za wesołym towarzystwem. Podczas hulatyki sam proboszcz uległ namowom i wraz z parafją podpisał akt przejścia na prawosławie. Kościół miejscowy zabrano na cerkiew, a proboszcz jego został popem i był nim do śmierci. Rzecz dziwna, dla podtrzymania u nas sprawy katolickiej w tym czasie przyczyniła się niemało niewiasta, p. Róża Życka, łącząca w swej osobie spryt niewieści z gorliwością ofiarną. Znała ona osobiście Chowańskiego, była świetną gospodynią i razem kurjerem, przewożącym sekretną korespondencję pomiędzy księżmi, usiłującymi sparaliżować akcję schyzmatyczną księcia. By wywieść jego w pole, uciekano się do następującego fortelu: *panna Róża* (jak ją nazywano) przygotowy-

wała bardzo obfity obiad, któremu towarzyszyła oczywiście arcyszczodra libacja. Umyślnie przedłużano go w nieskończoność, tymczasem wierni kościołowi ludzie na rynku namawiali ciemny gmin, zawsze łakomy na darmowy poczęstunek, by raczej uciekał, niż niebacznie lał w zastawione nań zdradziecko sidła. Stąd Chowański, wstawszy wreszcie od stołu, nie znajdował niekiedy na rynku nikogo, prócz swych żołnierzy, też często podchmielonych przy tej dobrej okazji. Podobno panna Róża w ten sposób uratowała aż kilka parafij. Wkrótce jednak Chowański spostrzegł, że jest ofiarą mistyfikacji i straszliwie zwymyślał dzielną niewiastę.

Dzięki stosowaniu takiej polityki, rząd w ciągu dwóch lat zamknął w djecezji wileńskiej 167 kościołów. Niezadowolony jednak z dotychczasowych owoców swej polityki, rząd w ciągu dalszym powiększa liczbę swych sprzymierzeńców w kapitule, wprowadzając doń oddanych sobie ludzi. Jeden z takich znalazł się w djecezji żmudzkiej, a był nim ks. Kulesza. Sprowadzony do Wilna, zamieszkał w hotelu, gdzie zapamiętałe hulał i urządzał burdy, przyczem podczas jednej z nich podobno wyrzucony został przez okno. Nawet Żyliński, który wcale skrupulatnym nie był, niechętny był przyjęciu do kapituły takiego kandydata, obawiając się jego warcholstwa. Rząd uparcie stał na swoim, wymógł mianowanie ks. Kuleszy proboszczem w Ławaryszkach, a potem dziekanem m. Wilna, na miejsce niezapomnianego ks. Piotrowicza. Instalowani nowi prałaci, jak ks. Linkin i Makarewicz, byli kreaturami Żylińskiego, ludźmi *ejusdem farinae*.

Przez cały czas rządów Żylińskiego, t. j. od r. 1864 do przyjazdu biskupa Hryniewickiego w r. 1883, wciąż trwał taki okropny stan rzeczy w djecezji wileńskiej. Zaiste coś dziwnego jest w tem, że, przy najgorszym przykładzie, dawanym przez tylu kapłanów, biskupstwo ocalało, a wiara ludu katolickiego szwanku nie poniosła, ówsem zyskała nieznaną gdzie indziej hart.

Bezwarunkowo bardzo symptomatycznym jest koniec trjumwiratu i zgon jego członków.

Będąc kustoszem Ostrejbramy, Żyliński jawnie

Weszła komornica Urbanowa i rozglądała się po izbie uważnie.

— Dla czego to gospodyni tak późno dziś ze śniadaniem? — spytała, widząc, że Józefata bliny jeszcze piecze: — inni dawno już zjedli i odpoczywają!

— Zaspałam, — odrzekła Piotrowa: teraz spieszę się bardzo!... Dobrze jeszcze, że Piotr długo nie przychodzi, — byłabym nie zdążyła!...

— No, to możesz się nie spieszyć: on nie przyjdzie! — mówiła Urbanowa i spójrzała na Piotrową niby z szyderstwem, niby z radością.

— Dlaczego? — zdziwiła się Józefata.

— Czyż nie wiesz?!..

— Nie wiem nic!..

Józefata porzuciła bliny i zaczerwienionemi od ognia oczami patrzyła na Urbanową. Nie cierpiała tej baby za język i wymysły. Lecz teraz serce jej ścisnęło się.

— Ta plotkarka wie coś, — przyszło jej na myśl: — pewnie coś złego?!..

— Ja nic nie wiem, — powtórzyła: — co chcesz mi powiedzieć?

Urbanowa spójrzała z temi oczami na Piotrową. Milczała chwilę, jakby słodko jej było posiadać cudzą tajemnicę, pieścić się nią i dręczyć młodą kobietę. Lecz długo nie mogła wytrzymać!..

— Przecie twój Piotr z Kazimierzem Damulisem i z Antonim poszedł do lasu... do powstańców! Widziałam wszystkich trzech, idących o świcie z pikami... Wszyscy wiedzą!..

— Kłamiesz! — chciała zawołać Józefata.

Lecz przypomniała słowa i niepokój Piotra, przypomniała, co sama widziała wczoraj koło chlewa, — i uwierzyła... Ciężkie brzemię legło jej na piersi... Uczuła nagle chęć do otworzenia przed kimś serca, do wypowiedzenia myśli, do usprawiedliwienia Piotra: lecz spojrzawszy w złe oczy Urbanowej, zacisnęła tylko usta i odwróciła się. Wiedziała, że ta kobieta ucieszy się tylko z jej nieszczęścia, nadzieję wyśmieje.

Po wyjściu Urbanowej, Józefata narzuciła chustkę na głowę i pobiegła do Damulisów. Nikt tam nie spoczywał: wszyscy byli w chacie zgromadzeni. Stary ojciec siedział zgarbiony na ławie, matka na łóżku płakała. Córki szlochały... Józefata pochwa-

obracał na swą korzyść wszelkie wota, ofiary i zapisy, czynione miejscu świętemu, i budował za nie kamienice. Żadne upomnienia nie pomagały, między innymi też bez skutku pozostała listowna admonicja dana mu przez papieskiego sekretarza stanu, kard. Antonellego (6 kwietnia 1872 r.), jak również późniejsze (styczeń 1878 r.) wezwanie Żylińskiego (łącznie z Sęczykowskim i Jurgiewiczem) przez *Congr. S. Concilii* do złożenia urzędu wikariusza kapitulnego i administratora djecezji mińskiej. Dopiero biskup Hryniewicki, zaraz po konsekracji, zabrał się do Żylińskiego i zatelegrafował z Petersburga do ks. Stef. Raczkowskiego, polecając mu niezwłocznie wziąć klucze kościelne od proboszcza ostrobramskiego. Był to pierwszy cios, zadany potentatowi. Cóż robi Żyliński? Oto jedzie ze skargą na wyrządzoną mu „krzywdę” do Rzymu i naiwnie prosi tam jeśli nie o biskupstwo dla siebie, to przynajmniej o sufraganie, w uznaniu swych rzekomych zasług! W Rzymie jednak wiedziano, z kim mają do czynienia, i kazano mu odprawić rekolekcje u o. o. zmarłych wstąpińców. Żyliński wnet spokorniał, odprawił rekolekcje pod kierunkiem kapłana tej miary co o. Semenięko, i nawrócił się. By naprawić straszne zgorzienia, Żyliński napisał z Rzymu list do dziennika „*Nowosti*” w Moskwie, w którym odwołał *wszystkie* swe zarządzenia i błagał duchowieństwo i lud o przebaczenie. Po powrocie z Rzymu do Wilna, usunął się on od wszystkich i zamieszkał w swym domu za Ostrąbramą, zajmując mieszkanie na trzecim piętrze, skąd okna wychodziły na kaplicę Ostrobramską. Władzę nad domem oddał swym nepotom, którzy niepomiń łąsk swego dobrodzieja, zapowiedzieli mu wkrótce, że jeśli nie opróżni mieszkania na św. Jerzego, wyrzucą go z domu. Nieszczęśliwy starzec prosił o pozostawienie mu chociażby jednego pokoiku, lecz mu w tem odmówiono. Niezadługo przyszła tylko śmierć-wybawicielka, zabierając go akurat w wielki piątek z tego świata: Pochowano Żylińskiego na Rosie, w jego własnym, zawczasu zrobionym grobowcu, na którym opiewał napis: *Dom hrabiów Żylińskich!* Ciemna, a skora do nienawiści gawiedź wileńska, przez dość długi czas, nieporna

nawrócenia nieboszczyka, po barbarzyńsku pastwiła się nad tym grobowcem, niszcząc na nim napisy, tłukąc szyby, szpecąc pisaniem różnych niemądrych sentencji i t. d. Co prawda, przed laty kilkunastu, pewien publicysta wileński, nie wiedząc chyba o nawróceniu i odwołaniu błędów przez Żylińskiego, też nazwał go *bónzq wileńskim...*

Erka.

(D. c. n.)

## Przechadzka po wystawach.

Są to uwagi, a raczej wrażenia, *nie* fachowca-krytyka i *nie* malarza. Ot, po prostu, człowieka, który dużo widział, patrzył, porównywał, i żył z artystami paru pokoleń od dziecka. Ale że w Wilnie, mamy co prawda wystawy obrazów, ale nie mamy, ani sprawozdawców, ani publiczności, więc może tą garścią wrażeń wolno się podzielić z bliźnim? Pierwsza wystawa Artystów Plastyków, o tyle zawiodła osobiście piszącego, że była za mało tutejsza, miejscowa, wileńska; ale to może patriotyzm ciasny i z zapiecka chcieć widzieć Wilno malowane wszelkimi możliwymi sposobami i marzyć o utrwaleniu typu jego ulic i mieszkańców?

Pozatem, z pewnością, wystawa przedstawia się po europejsku, (nietylko dzięki futuryzmowi p. Czechowicza). Jest umiejętnie, bardzo artystycznie ułożona; rozmieszczenie np. w małych salkach, poszczególnych działów: w jednej akty sanguiną członków W. T. A. P., w drugiej projekty i szkice architektoniczne p. Bursze i pełnego harmonji i prostoty pomnika Syrokomli p. Jachimowicza, skupia i podnosi wrażenia widzów. Dwie duże i jedna mniejsza sala, wypełnione obrazami. Najlepsze i najciekawsze rzeczy są: z wileńskich malarzy: portrety Śleńdzińskiego i rzeźby Jachimowicza, z warszawskich: Sereudyńskiego akwarele; pejzaże pełne słońca, o kolorach

liła Chrystusa i bojaźliwie za piecem usiadła. Wszyscy milczeli. Patrząc na nich żal i ją ogarnął: ścisnął za gardło, na powiekach łzami błysnął. Sama nie czuła, kiedy zaczęła głośno zawodzić!

— To i twój wyszedł? — przemówiła Damulisowa pełnym wyrzutu głosem: — on pewnie i naszych namówił...

— Cicho, matko!.. nie powiadaj byle czego, — ofuknął Damulis żonę; — młodych namawiać nie trzeba, — umieją sami kłaść głowę tam, gdzie ich nie proszono... Nie bój się! powrócą rychło do domu, gdy zakosztują głodu, lub dymu powąchają... Często tak bywa z młodymi...

— Wreszcie, może niema w tem nic tak straszego, — ciągnął dalej, wstając z ławy: — nie nasi tylko — dużo zbiera się teraz po lasach... Ruscy, jak słyhać, zewsząd uciekają... Co można wiedzieć, — może potem lepiej będzie żyć wszystkim?

I w oczach starego Damulisa błysnął ogień. Może strzeliła mu myśl do głowy, że gdyby nie starość, i on by nie wytrzymał — tylko szedłby, jak synowie, do lasu, bić Moskali...

— Broń Boże, jakiego nieszczęścia — jeczła matka płacząc.

— Wola Boża! — odrzekł mąż.

Lecz i jego serce ścisnęła troska.

— Patrzcie tylko, żebyście nikomu nie mówili o tem, — pogroził wszystkim: — a gdyby jaki nieznamy pytał — mówcie, że wyszli na zarobki...

Józefata wróciła do domu, jeśli nie wesoła, to o wiele spokojniejsza. Żal było, lecz czuła, że serce już nie tak boleśnie bije.

— Może w tem niema nic tak straszego, — przypomniała słowa starego Damulisa.

— Przecie to człowiek stary, — myślała sobie, — dużo wiedział i przeżył — nie może się mylić...

— Potem może lepiej będzie żyć wszystkim?... Słowa te, jak ręka matki pogłaskały Józefatę i serce jej rozgrzały...

Przeżegnała się i usiadła do śniadania... Pierwszy raz sama!.. W oczach zabłysły łzy... Lecz jadła...

Po śniadaniu wzięła się do pracy codziennej...

(D. c. n.)

cie jasnym i rysunku poprawnym. Biorąc kolejno wedle katalogu, oglądamy prace p. Adamskiej-Raubiny. Utalentowana artystka szuka swej drogi, próbując akwareli, pejzażu olejnego i ilustracji, zdaje nam się, że grafika jest jednak jej powołaniem, gdyż te jej rzeczy, posiadają wykończenie i smak, które nie zawsze możemy odnaleźć w innych jej utworach; kolorowe i ozdobne są jej „zabawki”, ale np. na taki utwór jak śmierć Wandy (w archaicznym stylu) nie podobna się zgodzić! P. Czechowicz jest wyraźnym zwolennikiem kubizmu i futuryzmu: ha, trudno, wolność Tomku w swoim domku, jednak serce boli patrząc na elokubracje rzetelnego talentu p. Cz. w takich dziwolągach jak: lato, jesień, dwór etc. Ale np. *Powrót* jest stanowczo nastrojowy i pełen grozy, chociaż pusta brukowana droga między głuchymi murami, tytułu nie tłumaczy, dalej głowa pastelowa, wykazuje, co by artysta mógł malować, gdyby się wyrzekł takich efektów jak na portrecie kobiety w czerwonej czapeczce.

Ładne są, acz nie przekraczające przeciętnej miary akwarele p. Dąbrowskiego z Warszawy, zwłaszcza kaplica w Radczyńcu, w otoczeniu jesiennych drzew, jest urocza, to samo da się powiedzieć o akwarelach p. Dąbrowskiej. Ciekawe kompozycje dał p. Hermanowicz.

Dobre portrety akwarelowe, czyste w tonie i robiące wrażenie bardzo podobnych, dał p. Hoppen (Wilnianin). Podobieństwo portretowanych twarzy uchwylił też znakomicie, niezmiernie utalentowany p. Jachimowicz, który ma z pewnością wielką przyszłość przed sobą; jego portret N. R. i popiersia kobiece, świadczą o opanowaniu ręką i wzrokiem modelu, i twórczości świadomej swych środków. Obrazy p. Jamonta, który dał na wystawę aż 15 rzeczy, są znane, uznane i mają zasłużone powodzenie. Jednak... zauważyliśmy w niektórych z wystawionych rzeczy, pewną tendencję do tworzenia manjery i stylizowania pejzażu, w kierunku krzywizn, któremi p. Jamontt rysuje dachy, domy, rynny etc. Koloryt niektórych pejzaży wydaje się też... stylizowany, np. zaulek Skopówka lub pejzaż z sosną. P. Kulesza (Wilnianin) dał niezłe, dość banalne portrety olejne, zaś p. Międzybłocki brudnawie w kolorycie akwarele, na ogół ładne, choć niezmiernie opatrzone przedstawiają zakątki Warszawy. Pp. Pileckiego, Wędziagolskiego Sierżputowskiej i Karnieja rzeczy nie dają nic, co by dłużej oko zatrzymać mogło, natomiast wszystkich pociągają śliczne akwarele p. Seredyńskiego, zwłaszcza te, gdzie błękitne dale i świeżość łąk maluje, tchną one wprost powietrzem i przestrzenią. P. Rouba, niestety, uległ nowym jakimś prądom i przeżywa najwyraźniej *Sturm und Drang Periode*, jego krajobraz tańczy opętany, chaty i wzgórza walą się na ukos do wozów, przygniecione niesamowitą tęczą; a akwarela *Wilja* i parę ocalałych od huraganu widoków, tak wiele mówią o prawdziwym talencie pejzażowym naszego Wilnianina! Ładne i harmonijnie skomponowane ilustracje do bajek p. Szyszko-Bohusz Zofji i bardzo artystyczne, wysoką kulturę znamionujące wnętrza p. Teodorowicz-Karpowskiej (pałac Baryczków i salon) wykazują pracę i usiłowania artystek w wynalezieniu odpowiednich swoim talentom rodzajów.

Portrety p. Wierusz-Kowalskiego, który nielada tradycje artystyczne wynieść musiał z pracowni ojca swego, znamionuje pewien pośpiech, ten szkodzi, być może, w wywołaniu całego efektu, do jakiego ten silny pędzel, trochę twardy i zimny (np. we frag-

mencie *Wojna*) jest zdolny. Najlepsze są portrety męskie, mocno narysowane i malowane z rozmachem, wywołującym znakomite efekty światło-cienia (owego znieawidzonego przez dzisiejszych czcicieli formy światło-cienia, istniejącego przecież w naturze)!

Niezmiernie ciekawe są portrety p. Slendzińskiego i z pewnością godne, by się niektóre z nich, np. portret Matki lub p. Karnieja znalazły w muzeum krajowym. Czysty rysunek, wykończenie i wystudjowanie modelu do najdrobniejszych szczegółów, by go potem zakuć, zastudzić w bryłę, o plastyce prawie rzeźby, nadać wszystkiemu specjalny koloryt, przypominający to prymitywy i prerafaelitów, (portret p. Dobrowolskiej), to znakomite portrety Holendrów z XVII w., ująć charakter twarzy i postaci w pewien styl, a nie zatracić indywidualności modelu, to potrafi p. Slendziński i daje nam prawdziwie chwile nie zamąconej rokoszy artystycznej, przy swoich obrazach olejnych i rysunkach sangwiną.

Całość wystawy, jeśli się weźmie pod uwagę że wszyscy artyści zajmują się całymi godzinami pracą pedagogiczną lub zarobkową, świadczy o czcigodnym zaiste wysiłku artystycznym całego, młodego zapalem grona, któremu Tow. Plastyków na imię.

\* \* \*

W inny zgoła świat wchodzimy na wystawie obrazów Minkowskiego. Bez efektów dekoracyjnych, bo i poco? wiszą tu dzieła niezapomniane zostawiające wrażenie. Oto Ghetto żydowskie. Oto świat tak bliski, a tak nieznan, świat zrosły z nami, a odrzucany, otaczany murem przesądu, wstrętu i nienawiści, otoczony tajemniczością dziwnych obrzędów. P. Minkowski ze świata tego pochodzi, w żyłach jego płynie starożytna krew Królów Dawidów i Królowych Sab, a także krew tych nędzarzy z zaułków i przytułków. Kalectwo artysty (głucho-niemy) oddzieliło go od ludzi, pozwalając tem głębiej, zajrzeć w siebie i w duszę otoczenia; z tego wmyślenia się powstały rzeczy piękne. Tak piękne i niezwykle, że się od nich oderwać trudno, i zostają na zawsze w pamięci. Dwoma drogami poszła twórczość talentu p. Minkowskiego. Przeszłość i terażniejszość narodu wybranego porwała równie silnie jego wyobraźnię, a niespolity talent z niezwykłą siłą i plastyką oddał kontrast tego *ongi* i *dziś*. Oto przytułki, noclegowe domy, kuchnie biedaków, uciekinierzy rozłożeni obozem, oto straszny, nędzny, biedny dzień dzisiejszy. Jakie twarze! Jakie oczy wymowne głodem, strachem, wstrętem, tęsknotą dalekiej Jerozolimy! Jak harmonijnie, trafnie skomponowane większe na ten temat obrazy (wychodzący, nocleg). Nic tu zbytznego, nic niedbałego. Wszystko jest potrzebne i dopełnia się wzajem, dla wywołania silnego wrażenia. A dalej, zaczyna się piękna, tajemnicza bajka: o Królach i mędracach, o Sabie i Betsabei. Piękne tajemnicze kobiety, o prześlicznie egzotycznych twarzach, w starożytnych szatach zakonu, to nad Biblią, to w bożnicy, to w modłach nad umarłym, to znów (ciekawym nadzwyczaj obraz) w zamyśleniu poślubnej modlitwy. Bogate czepce i złotem haftowane szaty, płaszczki i zausznice, wnętrza pełne skrytych skarbów niedostępne dla nikogo. Niezmierne bogactwo typów i niezwykle talent w ujmowaniu subtelnych wyrazów twarzy i malujących się uczuć.

Technika malarska p. Minkowskiego stoi na wysokości jego talentu. Zwłaszcza malowanie większych kompozycji akwarelą, zdumiewa czystością rysunku,



bogactwem barw; p. Minkowski operuje wodnemi farbami jak olejnymi, umiając im nadać tę samą intensywność kolorytu, a zarazem lekkość i subtelność odcieni, które, zwłaszcza na twarzach kobiet, są wprost przedziwne. Olejne obrazy niektóre, przypominają fakturę współczesnych Belgów, w jasnych barwach i czystości rysunku, naogół jednak p. M. jest nawskroś sobą, oryginalnym, niepodobnym do nikogo i zupełnie niepospolitym artystą. Podobno obrazy jego idą do Ameryki i Anglii. Gdybyż mogło chociaż parę pozostać w kraju, gdzie powstało natchnienie do nich! Jedne są dokumentem chwili, a inne tak bardzo, przykuwająco piękne bajecznością swoją, wszystkie zaś dziełem szczerego i głębokiego natchnienia.

Hel. Romer.

## Z mego notatnika.

### Niespodzianka.

„Dziennik Wileński” wkracza na nowe tory. Zamiast obrzucania „Przeglądu Wileńskiego” gradem wymysłów i połajanek usiłuje dać rzeczową jego charakterystykę. Można by powitać ten zwrot z zadowoleniem, gdyby autor artykułu p. t. „Schyłkowcy” zadał sobie trud wniknięcia w treść naszego pisma. Niestety p. Piasecki poszedł śladem publicystów z „Rzeczpospolitej”, u których ignorancja walczy o palmę pierwszeństwa ze złą wolą.

W pojęciu p. Piaseckiego „Przegląd Wileński” jest organem socjalistycznym i bodaj nawet wyznawcą „dogmatu dyktatury proletariatu”, a to jedynie na tej podstawie, że nie uważa święta 1 maja za święto żydowskie! W konsekwencji autor usiłuje przekonać, że doktryna socjalistyczna zbankrutowała i że ci, którzy jej hołdują są „schyłkowcami”. Czy socjalizm istotnie zbankrutował, o tem wyrokować bezapelacyjnie jest rzeczą cokolwiek ryzykowną, ale że przechodzi on obecnie ostry kryzys — to nie ulega wątpliwości. Najmniej zaś czuje się powołanym do występowania w obronie haseł walki klas i międzynarodowej solidarności proletariatu właśnie „Przegląd Wileński”, który indywidualizm, dążenie do rozwoju wszechstronnego jednostki stawia na pierwszym miejscu.

Latwo o tem przekonać się może p. Piasecki, przeczytawszy uważnie chociażby artykuł programowy w № 1 naszego pisma z ubiegłego roku, ale trudno oczekiwać zrozumienia stanowiska „Przeg. Wil.” od publicysty, który „romantyzm rewolucyjny” i „materjalizm dziejowy” zalicza do tej samej kategorii prądów umysłowych.

### Bez przybłocy.

Zainteresowała się również „Przeglądem Wileńskim” — „Gazeta Warszawska”, poświęcając mu w № z d. 22 b. m. artykuł wstępny p. t. „Gente Poloni”, który całkiem błędnie dopatruje się analogji pomiędzy stanowiskiem Mazurów pruskich i Ślązaków a obywatelami Litwy narodowości polskiej.

Tam ludność istotnie jest pochodzenia polskiego, mniej lub więcej ziemczona, gdy tu — przeważnie z wyjątkiem części mieszczaństwa wileńskiego i drobnego odsetka szlachty, ludność polska jest pochodzenia litewskiego lub białoruskiego. Nie można więc

o niej w żadnym razie powiedzieć: „Gente Poloni”. „Gazeta Warszawska”, która ma w składzie swej redakcji p. Józefa Hłasę — z pochodzenia niewątpliwego Białorusina, nie powinna popełniać tak rażących błędów.

Nie powinna również utożsamiać stanowiska „Przeglądu Wileńskiego” z poglądami demokratów czy federalistów wileńskich, czerpiących natchnienie z Belwederu, ale to już zostało dostatecznie wyjaśnione w „Gazecie Krajowej” z d. 24 b. m.

Najzabawniejszą zaś jest pretensja „Gazety Warszawskiej” względem anonimowości artykułu wstępnego p. t. „Naród a państwo” w ostatnim numerze naszego pisma, co ma rzekomo „świadczyć nie zbyt pochlebnie o odwadze cywilnej autora”. Można by na to odpowiedzieć przysłowiem: „kociół garnkowi przysiania”, boć i artykuły wstępne w „Gazecie Warszawskiej” są również zawsze bez podpisu, ale by zaspokoić ciekawość warszawskiej redakcji mogę ją poinformować, że autorem wszystkich artykułów wstępnych w „Przeglądzie Wileńskim” jest jego redaktor Ludwik Abramowicz, który też przyjmuje pełną odpowiedzialność za poglądy w nich wyrażone. Może wobec powyższego oświadczenia dowiemy się również, kto jest autorem artykułu „Gente Poloni”, — któremu „Gazeta Krajowa” zarzuca złą wolę?..

### Groch z kapustą.

Wpadła mi w ręce odezwa „Akademickiej Organizacji Metafizycznej” (sic!), z wypisaniami u góry szumnymi hasłami: Demokratyzm — Federalizm — Tolerancja.

Co ma wspólnego metafizyka z federalistyczną formą ustroju państwowego — to pozostanie tajemnicą autorów odezwy, ale po tak obiecującym wstępie następuje bliższe określenie zadań owej organizacji metafizycznej, z którego się dowiadujemy, że A. O. M. stawia sobie za cel: wychowanie prawdziwie *postępowego* obywatela Polski, Europy i świata, w następstwie urzeczywistnienie prawdziwie Demokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej, Federacji Ludów Słowiańskich i *narodowego kościoła* na zasadach *Tolerancji*, a to w myśl wskazań: teorii ekonomiczno-społecznej *socjalizmu*, filozofji polityczno-prawnej *mesjanizmu* i doktryny ewolucyjno-etycznej *ezoteryzmu*.

Dosłownie. Być może zasady socjalistyczno-mesjanistycznego ezoteryzmu nakazują propagować federację ludów słowiańskich w prastarej stolicy Litwy, ale zwykła logika i dawne zasady demokratyczne każą troszczyć się przede wszystkim o zgodne współżycie czterech odłamów ludności miejscowej: polskiego, litewskiego, białoruskiego i żydowskiego, które toczą ze sobą bezustanne walki, uniemożliwiające zapoczątkowanie „nowego cyklu kulturalno-cywilizacyjnego w myśl haseł braterstwa i pokoju, ideału i szczęścia” — jak tego pragną założyciele A. O. M.

Z jednej strony zoologiczny nacjonalizm, a z drugiej pretensjonalny ezoteryzm — oto smutny obraz dzisiejszej młodzieży. Przeróżająca pustka w głowach.

Licz.

## Prawem i lewem.

W warszawskiej „Rzeczypospolitej” p. Jan Obst zamieszcza korespondencję z Wilna, w której między innymi czytamy:

„Obok sprawy kościoła i klasztoru Św. Trójcy, jest inna jeszcze, bardzo drażliwa, która od pewnego czasu porusza opinię najszerszych warstw naszych. Jedną z najpiękniejszych katolickich świątyń wileńskich, jak wiadomo, jest jezuicki kościół Św. Kazimierza, który przez Moskali odebrany nam został, odarty ze wszelkich ozdób, cudownych inkrustacji i rzeźb i przerobiony na cerkiew. Tuż przy kościele, dotykając doń bezpośrednio, wznosi się okazała kamienica, która ongiś była własnością Jezuitów, po kasacie zakonu przeszła fikcyjnie w ręce prywatne, następnie zaś z rozkazu cara odebrana została i oddana na siedzibę prawosławnym archierejom. Po ustąpieniu Rosjan, jeszcze za czasów okupacji niemieckiej, OO. Jezuici odzyskali kościół, a wraz z nim ową kamienicę, którą oddali zresztą bezinteresownie na cele oświatowe. Mieści się tam dziś szkoła oraz Liga Robotnicza św. Kazimierza z czytelnią, salą odczytową i t. p. Ostatnio duchowieństwo prawosławne wystąpiło ze skargą sądową o zwrot kamienicy, opierając się na tem, jakoby w swoim czasie nabyta została ona prawnie z rąk prywatnych, jakkolwiek powszechnie wiadomo, iż „kupno” owe doszło do skutku pod przymusem, w ciągu jednej doby, z rozkazu cara, który beził wtedy w Wilnie. Jeżeli mamy prawo, anulujące nie tylko wszelkie konfiskaty, dokonane przez

rzędy carskie, ale też i „kupna”, dokonane na zasadzie uprzywilejowania, czemu prawo to nie może być zastosowane w tym wypadku.

Przyznanie kamienicy prawosławnym, o czym chodzą głuche pomruki, wywołałoby niesłychane oburzenie wśród ludności polskiej, zaś Liga Robotnicza, najpotężniejsze zrzeszenie, liczące kilkanaście tysięcy zorganizowanych robotników i robotnic, zdecydowana jest nie ustępować i bronić tych murów chociażby siłą, tak, jak broniła kościoła przed przemocą bolszewickich zbirów.”

A więc p. Obst z góry zapowiada, że jeżeli wyrok będzie niepomyślny dla Ligi Robotniczej, to wykonanie jego napotka zbrojny opór strony zainteresowanej... To się nazywa poszanowaniem praw! Ładne zasady szerzy organ „ładu i porządku”!

## Książki nadesłane do Redakcji.

**Brensztejn Michał.** Biblioteka Uniwersytecka w Wilnie do roku 1832. Wilno. 1922.

**Vidunas.** Drogi gwiazd. Baśń dramatyczna w 3 aktach. Wilno. 1922.

**Richter Reinhold.** Der Weg zu neuer Weltreform und J neuer Kultur Bydgoszcz. 1922 r.

**Treść numeru:** Miecz Damoklesa. — *Jadźwing.* „Actio in distans” w polityce polskiej. — *Gordiner.* Endecja a polityka Watykanu (Wolna trybuna). *Erka.* Trjumwirat. — *Hel. Romer.* Przechadzka po wystawach. — *Licz.* Z mego notatnika. — **Prawem i lewem.** **Odcinek:** — *J. B-nas.* Smutna opowieść.

# ANTYKWARIAT NAUKOWY

przy Księgarni Stowarz. Nauczycielstwa Polskiego (dawn. „Kultura”)

UL. WILEŃSKA 36

**Kupuje i sprzedaje  
książki, rękopisy, ryciny.**